

sultantem pierwszych drukowanych prac, chociażby z racji prowadzonych przez niego zajęć z historii średniowiecznej Rusi i znawcy historii wojskowej, a zwłaszcza sztuki wojennej w Polsce w okresie rozdrobnienia feudalnego. Później zaś odwiedzał go po prostu po przyjacielsku, zazwyczaj po zakończeniu kolejnej zagranicznej peregrynacji. Przywoził z nich nie tylko „tony” fiszek i sterty notatek, ale również książek. Przypominam sobie taką sytuację, że podczas jakiejś mojej wizyty u profesora Krakowskiego stwierdził on coś w tym stylu: „Andrzej wrócił z zagranicy, w zniszczonych butach, ale w dwóch skrzyniach przywiózł książki”. Był w Paryżu i miał zapewne różnego rodzaju zamówienia od rodziny – żony i córki, ale kupił książki i zapewne płyty. Był ponoć później problem z transportem jego bagażu z lotniska w Warszawie do Łodzi. Oprócz książek były to fiszki – wypisy z wydawnictw źródłowych, których nie mieliśmy wtedy w kraju. Sam osobiście z nich korzystałem i jestem Mu za to wdzięczny. A przepisywał je przecież odręcznie, gdyż nie były to czasy wykorzystania tak nowoczesnych jak obecnie środków audiowizualnych do celów naukowych i dydaktycznych.

A później profesora Andrzeja F. Grabskiego gościłem w pokoju dziekańskim przy ulicy Lindleya. Cieszę się, że mogłem dołożyć swoją cegiełkę do inicjatywy Pani profesor Aliny Barszczewskiej-Krupy w sprawie książki pamiątkowej Jemu poświęconej, pt. „W kręgu historii historiografii i polityki”, która ukazała się w 1997 r. Spotykaliśmy się również – nie powiem, że bardzo często, ale wystarczająco dużo, aby się dobrze poznać – w naszym Instytucie Historii, zazwyczaj we wtorek, tradycyjny dzień odbywania seminariów magisterskich, a obecnie także licencjackich. I najczęściej na trzecim piętrze w pokoju nr 46, nieodłącznie w towarzystwie podówczas jeszcze dra Rafała Stobieckiego. Czasu na rozmowę nie było jednak zbyt wiele, gdyż pod drzwiami zbierali się już doktoranci, a czas dla nich Profesor miał nieograniczony.

Zawsze będę miał Go we wdzięcznej pamięci.

### *Jan Pomorski*

AFG jakiego znałem...

Bardzo dziękuję PT Organizatorom za zaproszenie do wzięcia udziału w tym szczególnym panelu poświęconym pamięci Profesora Andrzeja F. Grabskiego. Witam Państwa bardzo serdecznie i pięknie kłaniam się Rodzinie.

Może zacznę od tego, że dla mnie i myślę, że dla wielu z nas tu zgromadzonych, zwłaszcza ze środowiska metodologicznego, AFG to postać kultowa. Myśmy Profesora kochali i nic nie jest w stanie zmienić tej opinii. Przez całe te dziesięć lat, jakie minęły od Jego śmierci, brak Andrzeja Feliksa Grabskiego jest

w naszym środowisku bardzo silnie odczuwalny. To było bardzo, bardzo przedwczesne odejście i wielka strata dla nas wszystkich.

Ja Profesora miałem szczęście poznać pod koniec lat siedemdziesiątych, w Poznaniu, na seminarium u prof. Jerzego Topolskiego. Oczywiście, znałem Go wcześniej z tekstów, ale do dziś pamiętam swoje zaskoczenie przy bezpośrednim spotkaniu – zderzenie obydwu sylwetek: niedużego wzrostem, o chłopięcej twarzy Jerzego Topolskiego z postawnym, mówiącym dużo i głośno, silnie gestykującym Andrzejem Feliksem Grabskim. Przez całe lata towarzyszyli nam (a raczej to my Im), dyskutując ze sobą zażarcie o kondycji nauki historycznej, o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości historiografii, od jednej konferencji do drugiej, od Zjazdu do Zjazdu i na niezapomnianych seminariach wyjazdowych. Gdy przysmykam oczy, widzę Ich spacerujących o świcie nad jeziorem czy na obrzeżach lasu, w znakomitej formie, ku naszemu zdumieniu i podziwowi. Bo przecież my młodzi wówczas padaliśmy, dyskutując z nimi do północy, szliśmy spać o drugiej – trzeciej, a oni wstawali jak gdyby nigdy nic o piątej rano, gotowi kontynuować nocne rozmowy. To było coś niewiarygodnego i coś pięknego zarazem. Widzę Ich twarze, widzę dwie sylwetki, idące jedna obok drugiej... To zostało w naszej pamięci. Zbieramy je, okruchy wspomnień, jak najcenniejsze obrazy. Książd profesor Józef Tischner pięknie pisze w „Filozofii dramatu” o epifanii Twarzy. Spotykamy drugiego człowieka w jego Twarzy i bywa, że jest to najważniejsze spotkanie w życiu. Ja bym powiedział, używając tej metafory, iż dla mnie historia historiografii zawsze będzie mieć twarz Andrzeja Feliksa Grabskiego, a metodologia historii twarz Jerzego Topolskiego. I tutaj nic się nie zmieni. Żaden upływ czasu nie jest w stanie zatrzeć tego wrażenia.

Ja nie chcę tu mówić o fantastycznym warsztacie naukowym AFG, o tym, że Profesor był dla nas wzorem badacza, wielkiego erudyty, bo był to erudyta niesamowity: jego wiedza była przygniatająca, momentami wręcz paraliżująca. Bo jakikolwiek temat się nie rozpoczęło, to Profesor natychmiast w niego „wchodził” całym sobą: zasypywał informacjami, odsyłał do źródeł, pokazywał gdzie, w jakim ośrodku, badania na ten temat były prowadzone, dawał mnóstwo wskazówek bibliograficznych i właściwie w tamtej epoce zastępował nam ... internet. Teraz wszystko staje się proste, potrzebując informacji, zwyczajnie „klikamy”, przeszukując zasoby sieci, a wtedy wystarczyło z problemem zwrócić się do Profesora i można było być pewnym, że poda właściwą odpowiedź. Obojętne, czy pytającym był początkujący badacz przed doktoratem, czy profesor, szukający rady i wsparcia. Ta postawa spolegliwości, wielkiej życzliwości wobec drugiego człowieka to była cecha dominująca Jego osobowości. Profesor kochał życie i to było czuć w każdym słowie, w każdym świadectwie z podróży, w każdej opowieści, jakie przed nami roztaczał. Mówiono tutaj, że był mistrzem słowa. To prawda, był doskonałym oratorem, lubiącym wykladać, lubiącym przemawiać, ale on nigdy nie nudził (ja przynajmniej miałem takie wrażenie). Jego się słuchało z zachwytem, obojętnie, czy to była pierwsza, trzecia, czy

siódma godzina rozmowy. [Janku, nie przesadzaj. Zdarzało się inaczej. – wtrącenie prof. Rafała Stobiecki] No cóż, pewnie dotyczy to okresu późniejszego, natomiast na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych drogi Rafale, Profesor był w znakomitej formie i, mogę zapewnić, że i w siódmej godzinie był interesujący. Jeśli nie wytrzymywaliśmy niejednokrotnie, to raczej z powodu tego, że nic nie było widać w oparach dymu, bo jak pamiętamy Profesor lubił odpalać papierosa od papierosa, a dodatkowo bardzo często unosił się zapach jakiegoś dobrego koniaku, bo i w tej dziedzinie Profesor był wybornym znawcą i nie tylko nas młodych wprowadzał w świat historiografii czy w świat ukochanej przez siebie muzyki poważnej, ale również w świat lepszych, szlachetniejszych trunków. Na przyjazd Profesora w domu trzeba się było dobrze zaopatrzyć, bo Profesor natychmiast rozpoznawał właściwe przygotowanie do długich wieczornych dyskusji... Było to niezwykle urocze, acz w tamtych czasach dość kłopotliwe, ze względu na stały deficyt lepszych trunków.

Było w tych naszych rozmowach coś z relacji Mistrz – uczniowie, a równocześnie jakby za każdym razem od nowa dzielenie się sobą, bo Profesor dzielił się z nami wszystkim, co miał pod ręką: swoją wiedzą, książkami, alkoholem, papierosami i Bóg wie czym jeszcze... Rzecz jasna najważniejsza była Jego wiedza, wiedzą nie tylko o historii historiografii czy o samej historiografii, ale także wiedza i doświadczenie, wynikające z tego, że był znakomitym obserwatorem swojej współczesności. Potrafił analizować zjawiska *a vista*, także te, które działały się współcześnie. Profesor nie stronił od polityki, natomiast zawsze szedł pod prąd. Nie lubił i nie chciał iść za większością. Gdy większość kolegów opowiedziała się za stalinizmem, zachował zdanie odrębne, gdy wstępowano do partii, pozostał bezpartyjnym, gdy większość środowiska akademickiego w roku 1980 opowiedziała się za „Solidarnością”, Profesor pozostał wobec niej krytycznym. Podobnie w stanie wojennym, gdy większość konspirowała lub szła w kierunku martyrologii i związków z Kościołem, Profesor programowo dystansował się od tego i zaczął działać w PRONie czy w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Łodzi. To chodzenie pod prąd jest tu niezwykle ważne. To cecha charakterystyczna AFG, rodzaj konsekwentnie zajmowanej postawy. Postawy, która – w moim przekonaniu – zasługuje na szacunek, a na pewno zasługuje na to, żeby ją wyartykułować, podkreślić. Bez jej uwypuklenia nie da się zrozumieć tych elementów biografii Profesora, o których zrobiło się ostatnio głośno i które mogą budzić pewne wątpliwości czy kontrowersje moralne. Bez odtworzenia i zrozumienia psychologii Andrzeja Feliksa Grabskiego, Jego sposobu widzenia i przeżywania świata, nie da się zrozumieć pewnych decyzji, które wydają nam się niezrozumiałe, a czasem także wątpliwe moralnie. W moim przekonaniu w wielu sytuacjach był to efekt wyboru własnej drogi życiowej i tego, że Profesor, co wielokrotnie podkreślał w rozmowach prywatnych, jakie z nami toczył, był przez określone środowiska i ludzi w życiu prześladowany czy sekowany. „Całe życie musiałem uciekać przed tymi samymi ludźmi” – mawiał. Te nazwi-

ska, które pojawiają się potem w artykule Sławka Nowinowskiego, piszącego o związkach AFG ze służbami, przejawiały się w naszych rozmowach z Profesorem w kontekście tego, jak odsuwano go od możliwości pracy i awansu naukowego, najpierw za inteligencje pochodzenie i to jeszcze z „takiej” rodziny, a potem jako będącego poza określonym „układem towarzyskim” i wyrzut sumienia z przeszłości<sup>4</sup>. To doświadczenie sekowania – co mogę powiedzieć jako świadek takich rozmów – wielokrotnie Profesor podkreślał i dodawał, że on się nie zmieniał – to ci ludzie się zmieniali, koniunkturalnie „przebierając się w inne szaty”. Wobec takich osób Profesor nie miał skrupułów, nazywał rzeczy po imieniu. I zawsze był niezwykle nieufny względem wszelkich „przebierańców” (myślę, że także dzisiaj reagowałby bardzo ostro na politycznych „przebierańców”...). I to jest też ważne *pendant* do tego, co prof. Rafał Stobiecki był łaskaw odnotować, dotykając w zagajeniu tego bolesnego wątku. Dla mnie osobiście nie ma on większego znaczenia. Dlaczego nie ma znaczenia? Bo zachowane źródła „esbeckie” to tylko jeden punktów widzenia. Bardzo, bardzo wybiórczy. My zaliśmy zupełnie innego AFG. Jesteśmy tu, aby zaświadczyć, jak Profesor Andrzej Feliks Grabski dzielił się sobą, okazywał nam swe zainteresowanie, serce, dobroć. To, ile rozdał z siebie innym ludziom to jest ogrom, to jest coś niesamowitego. Ja jestem dumny, że w jakimś sensie był także i moim Mistrzem. Jestem przekonany, że cała obecna na tej sali Rodzina może być dumna, że takiego ojca i dziadka miała. Dla nas AFG – takim, jakim Go zaliśmy – był autorytetem, był godny najwyższych odznaczeń, najwyższego uznania. To pierwsza myśl, dla której wypowiedzenia chciałem zabrać głos na tym panelu.

Druga jest związana z tym, że warto upamiętnić Profesora jako fascynującą osobowość, pełną rozmaitych pasji i umiejącą postrzegać świat wszystkimi zmysłami i to z taką intensywnością, że tylko pozazdrościć. On potrafił słowem wyczarować przed nami widok Wenecji, Paryża czy Moskwy, który zapamiętał podczas pobytu naukowego i znakomicie oddać klimat miasta, muzeów, archiwów, a także uroczych zaułków, knajpek czy kafejek.. Myślę, że ta późniejsza pasja fotografowania brała się z tego, że chciał to wszystko utrwalić, bo słowa zdawały się mu nadto ulotne.. Ja nie znam Jego zdjęć, o których mówili tu inni, ale myślę, że to właśnie musiało być przedłużeniem tych szczególnych zdolności narracyjnych, które jako *clique* z tamtych lat tkwią wciąż w mojej pamięci..

Profesor miał oryginalny warsztat pracy naukowej, oparty skądinąd na swej genialnej pamięci muzycznej, bo jak Państwo doskonale wiecie, Profesor nagrywał teksty źródłowe. Ja niestety jestem wzrokowcem, a nie słuchowcem i gdy próbowałem kiedyś iść Jego śladem, kompletnie mi się to nie udawało. Profesor potrafił – sam byłem tego świadkiem – mieć na raz trzy włączone magnetofony – w każdym co innego leciało – a on siedział przy maszynie, słuchał i pisał. To dla

---

<sup>4</sup> Chodzi o artykuł S. M. Nowinowskiego zatytułowany Andrzeja Feliksa Grabskiego żywoty równoległe, „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”, 2007, nr 1, s. 234–272.

mnie było zupełnie niesamowite. Pamiętam, że korzystając z Jego rad też zacząłem jeździć do archiwum z dyktafonem i tam szeptać, żeby nie notować (wtedy nie było skanerów, nie było niczego, nawet zdjęć nie było można robić), ale raz, że mówiłem tubalnym głosem, który niósł się po sali, przeszkadzając innym, to po powrocie z archiwum czy biblioteki okazywało się, że i tak muszę wszystko przepisać, więc zamiast skrócić wydłużała się cała moja robota naukowa. AFG był tu niedościgłym mistrzem. Mowa była już o tym, że warsztat naukowy Profesora, obojętnie czy mówimy tu o mediewistyce, o historii wojskowości czy o historii historiografii, był niezwykle solidny. Wszystkie Jego prace bronią się znakomicie po latach. Jeśli sięga się dziś po te prace, można być pewnym, że ich podbudowa źródłowa i faktograficzna nie zestarzała się. Wszyscy, jak tu siedziemy zaciągnęliśmy kiedyś jakiś dług wobec AFG, każdy z nas idąc dalej własną drogą ma świadomość ile Mu zawdzięcza i jakoś próbuje ten dług spłacać. Jestem pewien, że każdy z nas mógłby długo wyliczać, ile zawdzięcza rozmowom z Profesorem, jak cenne okazywały się Jego rady, życzliwość, wsparcie jako recenzenta w przewodach, czy w trakcie postępowań przed Centralną Komisją ds. Stopni i Tytułów Naukowych, gdzie przez całe lata zasiadał. Dziesiątki profesorów w Polsce, których sprawy przechodziły przez Centralną Komisję może dać tu świadectwo: a nie spotkałem nigdy nikogo, kto by powiedział złe słowo o tej pracy Profesora, a przecież miał wtedy realną władzę i wiele od niego zależało. Odwrotnie, słyszałem wielokrotnie, że Profesor angażował się emocjonalnie w trudne sprawy, potrafił świetnie przeprowadzić przez CK przewody osób politycznie źle widzianych. Potrafił świetnie taktycznie to rozegrać, żeby sprawa była pomyślnie sfinalizowana. A przy tym AFG nie pisał tzw. recenzji koleżeńskich. Nigdy tego nie robił. Jeśli krytykował, to merytorycznie i nie miało to znaczenia, czy był to debiut autorski czy książka profesorska. Wszystkich obdzielał sprawiedliwie... To, że Jego recenzje były głębokie, zawierały mnóstwo przyczynków i wskazówek bibliograficznych było powszechnie wiadomo, stąd jako recenzent budził postrach i szacunek zarazem. Jego pochwała była wielkim wyróżnieniem i środowiskową przepustką do historiograficznej elity. Jedyny kłopot z AFG jako recenzentem polegał na dotrzymaniu terminu, bowiem Profesor nigdy nie miał jednej rzeczy do zrobienia, zawsze miał na warsztacie równolegle kilka projektów, plus zamówione recenzje. Było też pisane przez lata Jego *opus vitae* synteza powszechnej historii historiografii, od czasów antycznych po współczesność (w naszej nomenklaturze zwana „Wielkim Grabskim” w odróżnieniu od „Małego Grabskiego” tj. zarysu dziejów historiografii polskiej). Profesor miał bardzo szerokie kontakty w świecie i był bardzo lubiany przez środowisko historyczne. Czy rozmawia się obecnie z historykami niemieckimi, włoskimi, francuskimi, rosyjskimi, czeskimi czy bułgarskimi, wszędzie znajduje się osoby, które znały Profesora i bardzo go ceniły. Ten niezwykle szeroki, budowany latami, międzynarodowy zespół kontaktów naukowych przydał się ogromnie przy pracach nad syntezą dziejów historiografii. Profesor rozsyłał

poszczególne fragmenty do swoich kolegów po fachu na całym świecie, prosząc o krytyczne uwagi, uzupełnienia i komentarze chciał by jego dzieło podległo międzynarodowej ocenie i weryfikacji. Zapewne byłby AFG wielkim fanem publikowania w internecie, gdzie odzew może być natychmiastowy. Przy tak rozbudowanych kontaktach naukowych, nic dziwnego, że AFG prowadził niezwykle rozwiniętą korespondencję. Ta korespondencja to jest w ogóle temat sam w sobie: myślę, że trzeba by te listy wydać. Ja sam mam zachowanych siedem listów od Andrzeja Feliksa Grabskiego i uważam, że wszystkie są niezwykle interesujące. Traktują o różnych rzeczach: i o naukowych, i o kompletnie nie-naukowych, ale wszystkie oddają charakterystyczny dla Profesora sposób widzenia, reagowania na świat.

Profesor niewątpliwie był już za życia legendą w naszym środowisku. Był przedmiotem kultu, adoracji, admiracji i powszechnej miłości nas młodych wówczas i mogę powiedzieć to z prawdziwą przyjemnością, iż upływ lat nic tu nie zmienia. Mimo tych dziesięciu lat, które minęły od śmierci Profesora, nam się ciągle wydaje, że Andrzej Feliks Grabski za chwilę tu wejdzie, stanie pośród nas, z całą swoją otwartością, tym szerokim uśmiechem, jak na tym zdjęciu, i zacznie kontynuować swój wykład, tak nagle, tak niespodziewanie dla nas przerwany, że do dzisiaj mentalnie trudno sobie z tą sytuacją poradzić.

Jeśli sięgamy do Andrzeja Feliksa Grabskiego, do jego tekstów dziś, to krzepi płynąca z nich naukowa solidność, otwartość na świat i na rzeczy nowe, ta łatwość w wyszukiwaniu inspiracji i dociekliwość poznawcza. Był AFG łącznikiem pomiędzy światem klasycznie uprawianej historii historiografii a nowoczesnością, jaką zapowiadał mariaż z metodologią i filozofią nauki. On jako pierwszy w Polsce transponował myśl metodologiczną Jerzego Topolskiego do środowiska historyków historiografii, a jednocześnie był weryfikatorem tej metodologii. I tu Jego rola była absolutnie pierwszoplanowa: jeśli się z Nim coś przedyskutowało i Profesor uznał argumentację, to można było z prawdopodobieństwem bliskim pewności przyjąć, że świat historyków będzie gotowy daną teorię przyjąć, zaakceptować ją. Profesor był dla mnie osobiście jednym z najważniejszych ludzi, których w życiu spotkałem i chociaż to nie były intensywne kontakty z racji przestrzennego oddalenia, to mogę powiedzieć, że łączyła nas przyjaźń. Radość z każdego spotkania, nawet przypadkowego w księgarni ORPAN w Pałacu Kultury, była zawsze wzajemna i szczerą. Wyjaśniam dla niewtajemniczonych, że Profesor miał zwyczaj wpadać do tej największej księgarni naukowej w Warszawie, jak wracał pociągiem ze stolicy do Łodzi i zwykle „buszował” na półkach z książkami rosyjskimi, miał ich mnóstwo (ja odkryłem dzięki Niemu „szkołę tomską”, Michała Barga i Aarona Guriewicza). Za każdym razem, takie przypadkowe spotkania przeciągały się, Profesor odpuszczał pierwszy pociąg, potem drugi, nic dziwnego, że do Łodzi powracał ostatnim.. Tak zapewne było i wtedy, gdy po raz pierwszy zaprosił mnie do siebie do domu, wtedy jeszcze na ulicę Aleksandrowską, w marcu 1980 roku. Przyjechałem

z gotowym doktoratem na umówioną 19 godzinę, a Profesor się spóźnił z Warszawy. Żona wpuściła mnie do gabinetu AFG, podała herbatę, a pilnował mnie wielki pies. Pamiętam, że była tak wspaniała biblioteka i nie mogłem się oprzeć, by nie sięgać po książki: ile razy wstawałem, by po nie sięgnąć, psu „gotowało” się w gardle, pilnował mnie cały czas. Profesor dojechał przed północą, a potem rozmawiał ze mną do piątej nad ranem, po czym odprowadził na pociąg. Wróciłem do Lublina zachwycony i całkowicie Nim zauroczony. I tak już mi zostało.. [wtrącenie z sali – Znaczy do piątej do ciebie mówił]

Proszę Państwa, bardzo raz jeszcze dziękuję za zaproszenie. Dla mnie to wielka przyjemność i zaszczyt, że mogę być tu w Łodzi, na Uniwersytecie, gdzie Profesor pracował i to w takich okolicznościach. Dziękuję ci Rafale za zaproszenie. Bardzo, bardzo dziękuję.

### ***Sławomir M. Nowinowski***

Dziękuję za zaproszenie do dyskusji. Przyjąłem je z niemałymi oporami, ponieważ nigdy nie pracowałem naukowo pod kierunkiem prof. Grabskiego, a moje kontakty z nim nie były ani intensywne, ani tym bardziej zażyłe. Występując dziś w roli „wspominkarza”, a nie historyka, poprzestanę na przedstawieniu kilku obserwacji poczynionych przed laty.

Pierwsze skojarzenie, które wywołuje u mnie hasło: Andrzej Feliks Grabski ma posmak anegdoty. W początkach mojej pracy w Instytucie Historii UŁ dzieliłem gabinet z dr. Franciszkiem Bronowskim, który notorycznie zapominał oddawać klucz na portierni, co skutecznie utrudniało mi wejście do środka. Nie inaczej było gdy umówiłem się kiedyś ze studentami na omówienie napisanych przez nich esejów. Staliśmy dobre kilkadziesiąt minut pod drzwiami, za którymi znajdowały się sprawdzone prace, gdy z zza zakrętu korytarza wyłonił się dr Bronowski. Sumitując się zmierzał dostojnie w kierunku drzwi i pewnie by je otworzył, gdyby ze swojego gabinetu nie wyszedł prof. Grabski. Wyraźnie uciechył się na widok swego kolegi i ruszył mu naprzeciw z okrzykiem dezaprobaty dla wykonania chopinowskiego Poloneza As-dur przez Ignacego Jana Paderewskiego podczas *tournée* w Stanach Zjednoczonych. Zarejestrowany na taśmie filmowej fragment koncertu wyemitowała właśnie Telewizja Polska. Dr Bronowski był również bardzo zdegustowany grą wirtuoza, która – jak utrzymywał – była wręcz „sucha”. Żywo gestykulując panowie zaczęli roztrzasać czy pianista „wyraźnie bębnił” czy też nie. Ostatecznie prof. Grabski zgodził się, iż „prawa ręka była zbyt ciężka, zwłaszcza w drugiej części nagrania”. Potem przyszła kolej na analizę porównawczą interpretacji utworu przez Władimira Horowitza, Artura Rubinsteina... padały daty i miejsca koncertów, sygnatury kolekcji płytowych. Słuchając tego zapomniałem o zdenerwowaniu, o studenckich esejach